

ALEKSY BAZYLEWICZ

Szer. Aleksy Bazylewicz, ur. 1892 r., rolnik, żonaty.

Zostałem aresztowany przez NKWD 3 lutego 1941 r. we własnym domu jako podejrzany o należenie do organizacji antykomunistycznej i osadzony w więzieniu Berezwech. Mieściło się w budynkach klasztornych przerobionych na więzienie przez bolszewików. Budynki były murowane, dwupiętrowe, z piwnicami.

Warunki mieszkaniowe okropne, w celach było bardzo ciasno, wilgotno i bez powietrza. Spaliśmy na podłodze bez żadnej pościeli, tylko w tym, co kto miał na sobie. Do łaźni chodziliśmy co dziesięć dni, lecz wszy i pluskiew było bardzo dużo, gdyż bielizna i ubrania nie były zmieniane ani prane, tylko niby dezynfekowane.

Więźniowie byli to sami Polacy, z wyjątkiem dwóch Żydów, których my podejrzewali jako konfidentów NKWD, gdyż często byli oni wywoływani z celi i po krótkim czasie wracali. Po ich powrocie były wypadki, że wywoływali któregoś z więźniów, zarzucali mu antysowiecką agitację w więzieniu, a gdy się do tego nie przyznawał, osadzano na kilka dni w karcerze. Wszyscy byliśmy oskarżeni jako przestępcy polityczni. Wśród nas byli ludzie bardzo inteligentni, z wyższym wykształceniem, jak inżynierowie, urzędnicy państwowi i samorządowi, poza tym komendanci [Policji Państwowej?], sekretarze gmin, nauczyciele i rolnicy. Żyliśmy w dobrych stosunkach koleżeńskich, gdyż dzieliliśmy się jeden z drugim, czym kto miał.

Badania przeprowadzano w różny sposób, rozpoczynając od gościnności, a kończąc na torturach i karcerze. Gdy wezwano mnie na badanie, najpierw poczęstowano mnie papierosem, potem zaczęto pytać, czy należę do organizacji antykomunistycznej. Gdy się wypierałem, zaraz zaczynali mi „czytać” *stalinskuju konstytucju*, a był to kawał gumy długości ok. metra i grubości ok. dwóch i pół centymetra, którym bili do nieprzytomności.

Gdy już straciłem przytomność, wrzucono mnie do piwnicy na kilka godzin i następnie po odzyskaniu przytomności wzywali ponownie, pytali o to samo i znowu bili. Po takim badaniu wrzucono mnie do karceru na pięć dni, tylko w jednej bieliźnie, w skarpetkach i kalesonach. Cella karceru była w piwnicy dwa na dwa metry, dwa okienka naprzeciw siebie bez szyb i to w lutym. Jedzenie: 300 g chleba i pół litra wody dziennie. Gdy w piątym [dniu] w karcerze straciłem przytomność z głodu i zimna, odzyskałem przytomność już w innej celi, ubrany. I tak się powtarzało, póki nie przyjąłem na siebie zarzutu należenia do organizacji. Byłem naocznym świadkiem, jak z badań do celi przynoszono nieprzytomnych okrwawionych Polaków. Poza tym zawsze, a przeważnie w nocy, dochodziły do naszych uszu przerażające głosy torturowanych kobiet. Były to głosy błagania, przekleństwa i modlitwy. Chwilami te głosy stawały się przytłumione, z czego należało wnioskować, że zatykano torturowanym usta. Były wypadki, że człowiek nie mógł tego znieść i popełniał samobójstwo. Był wypadek, że jeden wsadził głowę do palącego się pieca i znaleźli już trupa z zapaloną głową. Był to właściciel majątku Kuryłowicze, pow. Dżisna, nazwiskiem Muraszow.

31 marca 1941 r. stanęło nas razem ośmiu przed sądem bolszewickim, z których ja i trzech kolegów zostaliśmy skazani po dziesięć lat więzienia, czyli przymusowych robót, i konfiskatę majątku. Majątki skonfiskowano, a rodzinę wywieziono do Rosji. Pozostali czterej zostali skazani na karę śmierci, która – jak przypuszczam – została wykonana, gdyż po nich ślad zaginął. Byli to Ignacy Kamieński, Jerzy Hryszkiewicz, Bronisław Danbert i Kazimierz Karniej, wszyscy rolnicy z pow. Dżisna.

Co do propagandy komunistycznej, to była ona rozpowszechniana na szeroką skalę, jednocześnie także obrażano przez karykaturę.

Co do pomocy lekarskiej, to była ona bardzo mała, ponieważ na łżej chorych całkiem nie zwracano uwagi, a często chorych zabierali z celi i nie wiadomo, co z nimi dalej było.

28 maja 1941 r. załadowali nas do pociągu. Do jednego wagonu pakowano po 40 ludzi. Jechaliśmy 34 dni, aż do portu koło Władywostoku. Podróż była bardzo przykra, w wagonie ciasno, drzwi i okna zamknięte, gorąco okropne, jedzenie: 600 g chleba dziennie i słona ryba. Były dni, że nie dano nam wcale wody, a jeżeli dawano, to w bardzo małej ilości. Konwój obchodził się okrutnie. W ciągu nocy kilkakrotnie byliśmy kontrolowani, a podczas takich [kontroli] wszystkie nasze rzeczy zwalano na jedną [kupę], a potem kazano w pięć minut pozbierać rzeczy i kłaść się spać.

1 lipca 1941 r., po przybyciu do obozu w porcie koło Władywostoku, umieścili nas wspólnie z więźniami różnych narodowości. Byli Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Litwini, Łotysze, Rumuni i obywatele sowieccy. Był to obóz rozmieszczony nad brzegiem morza. Baraki miały ściany z dykty kryte brezentem. Większość mieszkała pod odkrytym niebem. Higiena słaba, wyżywienie marne. Dni schodziły na różnych kontrolach i przegrupowaniach. Poziom umysłowy różny, moralność możliwa, koleżeńskie i wzajemne stosunki dobre. Ubrania to jakie kto miał, swoje własne.

Pomoc lekarska – jak już wspomniałem, panowała epidemia czerwonki, bardzo dużo umierało, lecz nazwisk ich podać nie mogę.

22 lipca 1941 r. załadowano nas na okręt towarowy, ok. ośmiu tysięcy, w tym ok. dwu tysięcy Polaków. Do jednego przedziału wtłoczono po tysiąc ludzi. Była to chwila najokropniejsza, bo jeden na drugim byliśmy jak drzewo. Dla załatwienia fizycznych potrzeb chodziło się po ludziach. Podróż ta trwała siedem dni.

29 lipca przyjechaliśmy na półwysep Kałyma, do miasta Magadan. Po wyładowaniu poprowadzono nas do łaźni. Tam obrabowano nas doszczętnie. Bo my, Polacy, mieliśmy z sobą bardzo dużo rzeczy, jak ubrania, obuwie. To wszystko nam odebrali, a ubrali w więzienne łachy, po czym umieścili w zbiorowym obozie. 3 sierpnia 1941 r. nas, 300 Polaków i ok. stu obywateli sowieckich, załadowali na samochody i powieźli w tajgę w góry, 500 km od tego miasta do kopalni złota, do obozu Duskania. Obóz ten był rozmieszczony między wielkimi skalistymi górami. Baraki były obite i pokryte workami od mąki, tak że jak padał deszcz, to nie było różnicy czy na dworze, czy w baraku. Było to nie życie a gnucie, bo akurat była pora deszczowa. Mieszkało nas w jednym baraku 150 ludzi, w tym stu Polaków, a 50 obywateli sowieckich. Wszyscy jako skazani polityczni. Wśród Polaków, jak i obywateli sowieckich, byli ludzie inteligentni, jak oficerowie i urzędnicy, a byli i ludzie prości – robotnicy i rolnicy. Moralność dobra, wzajemne stosunki dobre. Obywatele sowieccy byli bardzo współczujący dla Polaków.

Pracowaliśmy po 14 godzin dziennie. Praca była bardzo ciężka, bo norma dzienna to wykopanie pięciu metrów sześciennych ziemi przez jednego więźnia i odwiezienie taczka do płuczkarni. Wynagrodzenia żadnego. Wyżywienie marne: kto wyrabiał normę, dziennie 800 g chleba i trzy razy po pół litra owsianej zupy, tak że bardzo dużo upadało na siłach, to tych zabierano z tego obozu i odwożono do obozu tzw. inwalidów. Jak to się nazywało po

obozowemu: na powolne konanie. Był wypadek, że Polak Łasim z woj. białostockiego zgłosił się chory, lecz lekarz nie uznał go za chorego. Do pracy zanieśliśmy go na rękach, pracować jednak nie mógł, więc zabrano go do szpitala, gdzie na drugi dzień zmarł.

Zostałem zwolniony 12 października 1941 r. i przyjechałem do Omska. Było nas ok. stu ludzi. W Omsku NKWD skierowało nas do Taszkientu [Taszkentu], mówiąc, że tam organizuje się polska armia. Przyjeżdżamy do Taszkientu [Taszkentu], a tu nic nie ma. Rozesłano nas po kołchozach. W jednym kołchozie było nas 40 Polaków. Głodowaliśmy okropnie, bo dostawałem tylko 600 g kukurydzianej [?] mąki dziennie, poza tym więcej nic. Mieszkania były zimne, opału nie było, ubrani byliśmy na wpół nago. Tak się męczyliśmy aż do marca [1942 r.]. W lutym przyjechała polska komisja wojskowa, na której stanęliśmy do przeglądu. Potem zostaliśmy powołani do wojska. 1 marca [1942 r.] wstąpiłem do wojska w Taszaku.